

BEATA MAJEWSKA



Moja twoja wina

MIRAZ



Moja tvoja vina

Spis treści

Pięć minut

Czwarta rozmowa

Pięć minut

Jakie to dziwne, że w ciągu zaledwie pięciu minut można przeżyć więcej emocji w związku niż przez pięć lat jego trwania...

Urszula stała jak porażona i patrzyła na plecy swojego męża, bo bez wątpienia to były plecy Marka: dosyć szerokie, umięśnione – choć nieprzesadnie – i bardzo męskie, osłonięte białą koszulą, którą sama rano mu wyprasowała. Poznawała lekką zmarszczkę na kołnierzyku. Na szczęście ta drobna fałdka nie wpadła Markowi w oko, bo z pewnością poprosiłby matkę, żeby poprawiła po niedokładnej synowej.

Stała więc i patrzyła na plecy Marka Kosteckiego, od pięciu lat swojego ukochanego męża, i myślała, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Że nie ma jej tutaj, na środku kawiarni w centrum handlowym Sfera, że nie stoi z przewieszoną przez ramię kurtką i krzywo założoną czapką, i że nie postanowiła sprawić Markowi urodzinowej niespodzianki i przyjechać tu w tajemnicy, żeby kupić mu kolejne bardzo drogie i markowe pióro visconti, którymi to piórami tak lubił sporządzać notatki.

Pożegnali się rano jak zawsze lekkim i niezobowiązującym cmoknięciem. Marek pożyczył od niej samochód, bo jego był na przeglądzie technicznym. „Jak ci się nie chce brnąć przez tę paskudną breję na chodnikach, wezwij taksówkę albo poproś ojca, żeby cię podrzucił” – powiedział. Z Królowej Jadwigi do centrum Oświęcimia szło się kwadrans, i to wcale nie jakoś szybko, ale ze względu na pogodę wezwała taryfę, która zawiozła ją prosto na dworzec PKS. Wiedziała, że to co robi jest dziecinne,

bo przecież Marek pracował w Bielsku i mogła jechać z nim, ale wtedy nie byłoby niespodzianki! A ona tak bardzo chciała mu sprawić przyjemność.

Dlaczego taki drogi prezent? Bo Marek ostatnio wyraźnie się zmienił. Był prawie jak na początku ich załotów, bez mała osiem lat wcześniej, czyli czarujący, błyskotliwy i pełen energii. Sypał żartami, opowiadał, co słychać na uczelni, podśpiewywał, przyszykując trymerem swój seksowny trzydniowy zarost, a raz zaprosił ją na taras i przez dwie długie godziny pokazywał gwiazdy. I nawet wypili szampana, a potem poszli do łóżka. Od niepamiętnych czasów nie było jej tak dobrze w tym małżeńskim łożu.

To wszystko wydarzyło się naprawdę. Nie chciała tego zapamiętać i wyprzeć z głowy i serca, w przeciwieństwie do obrazu, który miała przed sobą. „Co się zobaczyło, to się nie odzobaczy” – przypomniała sobie jedno z powiedzonek Renaty i potrząsnęła głową, ale nadal była w kawiarni. Z głośników kapał leniwie jakiś jazzowy kawałek, wtórował mu cichy brzęk łyżeczek, którymi klienci mieszaali kawę albo jedli lodowe desery z wysokich pucharków wypełnionych owocami, bitą śmietaną i śmiesznymi wafelkami w kształcie serduszek.

– Przepraszam – usłyszała zza pleców.

Obejrzała się, ale tylko na sekundkę. To była kelnerka. Chciała uprzątnąć mały stoliczek, o brzeg którego wsparła się Ula.

– Proszę – odezwała się bardzo cicho, żeby nikt jej nie usłyszał, i lekko się odsunęła.

„Gdy będę cicho, może zniknę, a to wszystko też zniknie razem ze mną?” – pomyślała.

Niestety, tkwiła tam nadal. Patrzyła na plecy Marka, nachylające się i prostujące, na jego dłoń znajomym gestem poprawiającą ciemnoblonde włosy nad uchem i na koszulę napinającą się na umięśnionych barkach, gdy wyciągnął przed siebie ramiona.

Wyciągnął je, żeby objąć siedzącą naprzeciw niego kobietę. A potem ją pocałował. To nie był żaden tam koleżeński czy przyjacielski pocałunek. O nie. Urszula patrzyła na coś, co kiedyś było jej udziałem. Ona też uwielbiała się całować. Delikatnie muskać wargami pełne usta męża albo inaczej: namiętnie i gorąco

wpijać się w niego, przyjmować ukąszenia i tańczyć językiem obok języka.

Postąpiła o krok, a potem jeszcze, i jeszcze. Po chwili stała tak blisko, że czuła, jak przez delikatną, cienką tkaninę koszuli promieniuje ciepło ciała Marka. Zapach jego ulubionej wody kolońskiej owionął ją, przywołując wspomnienia, magiczne chwile z początku ich związku, gdy nie mogli nawet na moment trzymać się z dala od siebie, napędzani pożądaniem i pragnieniem dotyku, zespolenia w jedność.

Dostrzegając detale, to, że kobieta całująca jej męża jest drobna i szczupła, ma piękne, idealnie gładkie i proste platynowe włosy, a jej dłonie, które właśnie splotła na jego karku, są jasne i pozbawione najmniejszej skazy. Urszula przypuszczała, że to młoda dziewczyna, ale nabrała pewności sekundę później, gdy ta oderwała swoją twarz od twarzy Marka, odruchowo popatrzyła w górę i zatrzymała na Urszuli piękne oczy o jasnozielonej, chłodnej barwie.

To trwało krótko, nie dłużej niż dwa, może trzy głośne jak gong uderzenia serca, ale wystarczyło. Obie wiedziały, co, a raczej kto je połączył. Nagle Marek odwrócił głowę. Przez moment patrzył z niedowierzaniem na żonę. Już chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył.

– Ja... Ja przepraszam – wykrztusiła z trudem. – Ja... Przyjechałam tu, bo kupiłam ci pióro. – Sięgnęła do torebki, chcąc mu je pokazać, udowodnić, że mówi prawdę, że wcale go nie śledziła, ale natychmiast się zreflektowała, że to miała być niespodzianka. Przytknęła dłoń do ust, jakby chciała zatrzymać słowa, które przed chwilą padły, a najchętniej wycofać również ten obraz: zarumienioną dziewczynę z obrzękniętymi od pocałunku wargami i rozszerzone źrenice oczu Marka. Ale obraz nie znikał.

– Usieńka! – Marek odzyskał mowę. Energicznie podniósł się z fotela, ale Urszula jeszcze szybciej i zupełnie odruchowo odskoczyła do tyłu.

– Nic się nie stało – bąknęła. – Ja już idę. Chciałam tylko wypić kawę i coś zjeść. Może jakieś ciasto na ciepło. – Zerknęła na ladę chłodni zastawioną pucharkami i kawałkami szarlotki. – Już

mnie nie ma. – Z powrotem skupiła wzrok na Marku. Zagryzła bezwiednie kącik ust, odwróciła się i szybko odeszła, napędzana płonną obawą, że mąż pobiegnie za nią.

Płoną. Bo nie pobiegł.

Nie pamiętała, jak wróciła do domu. Dopiero Halina uświadomiła ją, że przyjechała taksówką.

– Czy mnie się wydaje, czy ta taryfa miała bielskie oznaczenia? – spytała wchodzącą do domu synową.

– Nie. Coś ci się pomyliło – rzuciła Urszula, mijając ją w korytarzu.

– Coś się stało? Czemu już jesteś w domu? – dopytywała, patrząc na Ulę, która dosyć energicznie pokonała pierwszy zabieg schodów prowadzących na piętro.

– Nic takiego. Chyba czymś się zatrulałam – wytłumaczyła, przewieszając się lekko przez barierkę. – Idę się położyć. Nie przeszkadzajcie mi, dobrze?

– Nie chcesz jakiegoś lekarstwa?

– Nie trzeba, już zażyłam. Nic mi nie będzie. W razie czego mam przy sobie telefon.

– Dobrze. – Teściowa zmarszczyła czoło, bo wcale tak nie czuła. Że jest dobrze. Usienka nigdy tak źle nie wyglądała, no, może trzy lata temu, gdy też jakoś dziwnie się zachowywała. Ostatecznie pouczyła Jureczka, że zostawia mu Usienkę pod opieką i że ma mieć na nią baczenie, a sama pojechała do biblioteki.

Dwie godziny później przyjechał Marek. Ojciec nawet nie zauważył powrotu syna. Drzemał przed telewizorem, znudzony do cna nie wiadomo którą powtórką serialu „Klan”.

– Usia! – pokrzykiwał Marek, szukając jej po całym mieszkaniu.

Denerwował się, bo nie odbierała telefonu. Zauważył wyłączony aparat leżący tuż obok pudełeczka z piórem, ale odetchnął z ulgą dopiero wtedy, gdy w końcu znalazł żonę. Skryła się w małym pokoju, który kiedyś miał być pokojem dziecka, ale ciągle stał pusty. Siedziała pod ścianą i tępym wzrokiem wpatrywała się w okno balkonowe.

- Usia, wołałem cię! Czemu się nie odzywasz? – dodał z wyrzutem.
- Widocznie nie mam nic do powiedzenia – odparła matowym, wypranym z emocji głosem.
- Zawahał się, ale w końcu usiadł obok niej.
- Musimy pogadać.
- Nie ma o czym.
- Jest.
- Skoro tak, słucham...



Ula mieszkała w rodzinnym domu Marka od dnia ich ślubu. Nie mogła złego słowa powiedzieć o teściach. Jerzy Kostecki, ojciec Marka, był chemikiem, kiedyś docentem na jednej z uczelni, od lat na emeryturze, ale czasami łapał jakieś drobne fuchy i na zlecenie pisał opracowania dla kilku lokalnych firm. Nigdy się nie wtrącał do „młodych” i rzadko zaglądał na piętro, gdzie mieli swoje niezależne trzypokojowe mieszkanie. Z kolei Halina, bo tak właśnie kazała się do siebie zwracać teściowa, też umiarkowanie wnikała w to, co robią synowa i syn. Wiodła bardzo aktywne życie i oprócz tego, że perfekcyjnie prowadziła dom, udzielała się charytatywnie w świetlicy dla trudnej młodzieży oraz w bibliotece.

Niedługo po drugiej rocznicy ślubu Urszula zorientowała się, że ta dziwna senność, która ją ogarnia prawie każdego popołudnia i nie przechodzi nawet po najmocniejszej kawie, ma swoje bardzo radosne podłoże. Upewniła się co do swojego stanu, robiąc badanie krwi i odwiedzając doktora Cebulę. Gdy wyszła z gabinetu, miała ochotę krzyczeć na cały świat, że wkrótce zostanie mamusią. Ale szybko jej przeszło. Obawiała się, i słusznie, że gdy teściowa dowie się o jej ciąży, zamieni się w kwokę i udusi ją swoimi opiekuńczymi skrzydłami.

Urszula kupiła parę maleńkich białych paputków i grzechotkę, pięknie zapakowała w delikatną bibułkę i wręczyła późnym wieczorem zaskoczonemu mężowi. W pierwszym momencie odniosła wrażenie, że wcale się nie ucieszył, ale tylko przez chwilę,

zanim twarz męża rozjaśnił cudowny, promienny uśmiech, a wyciągnięte ręce mocno ją objęły. Dała się nabrać, jak zawsze. Przez myśl jej nie przeszło, że udawał. Udawał, bo przecież właśnie zamierzała kupić nowy samochód dla niego. Na dodatek za cztery miesiące mieli lecieć na dwutygodniowe wczasy do Hiszpanii, a jak wiadomo dziecko to spory wydatek, nie mówiąc o tym, że i urlop stanąłby pod znakiem zapytania ze względu na konieczność podróży samolotem i pobyt w czasie największych upałów.

– Nie mówmy na razie rodzicom – zaproponował Marek, a Ula skwapliwie pokiwała głową. – Gdy im powiemy, zaraz się zacznie płacz i lament, że wywalamy kasę zamiast oszczędzać na pokój dla dziecka – uzasadnił, przyzwyczajony do wygodnego życia i do tego, że przez ostatnie dwa lata nie odmawiał sobie wypadów do pubu czy jadań na mieście. Tym bardziej że Ula nigdy nie dała mu odczuć, że jest od niej gorszy, choć zarabiał może dwadzieścia procent tego, co ona.

– Nie cieszysz się? – Była trochę zaniepokojona jego miną.

– Cieszę. Bardzo się cieszę. Po prostu to jeszcze do mnie nie dotarło. – Znów ją objął i cmoknął w czoło.

Minęły trzy tygodnie, nadszedł czas na kolejną kontrolną wizytę i już wtedy powinna była zauważyć, że coś jest nie tak. Marek wymówił się obowiązkami, a dokładnie przygotowaniem jakiegoś referatu o jego ulubionych holenderskich malarzach i różnicach między siedemnastowiecznym malarstwem holenderskim a wcześniejszym flamandzkim na przykładzie sztuki Vermeera i obrazu „Dziewczyna w błękitnej sukni”.

Właśnie dlatego Ula poszła sama.

Doktor Cebula ją zbadał, przepisał jakieś witaminki, założył kartę ciężową i zaprosił ponownie za trzy tygodnie. I znów Marek był zajęty i historia się powtórzyła. Prawie się powtórzyła, bo w trakcie badania głos lekarza wyraźnie zadrżał.

– Proszę wsunąć dłonie pod pośladki i zwinąć w pięści. Muszę lepiej widzieć – oświadczył. Patrzył w monitor i już wiedział, że nie ma dobrych wiadomości.

„Płód obumarł” – tak brzmiała diagnoza. Oczywiście doktor Cebula uspokajał, tłumaczył, że to dosyć powszechne

i w pierwszym trymestrze zdarza się nie tak rzadko. Pocieszał: „Kiedyś kobiety też roniły i nawet nie wiedziały, że były w ciąży”, ale to wcale nie uspokoiło Urszuli. Przeplakała miesiąc, dziękując Bogu, że nikt oprócz Marka nie wiedział o jej odmiennym stanie. Nie zniosłaby litości, pocieszenia, telefonu od siostry, która z pewnością wykorzystałaby ten fakt, żeby kolejny raz podkreślić i przypomnieć, że ma trójkę dzieciaków, a przecież jest młodsza. A Marek? Kilka razy coś napomknął, rzucił jakimś truizmem, że czas leczy rany i że za rok będą się z tego śmiać, bawiąc swoje nowo narodzone dziecko.

Ale dziecka nie było. Ula nie zachodziła w ciążę. W końcu po roku bezowocnych starań znów udała się do doktora Cebuli, wykonała dziesiątki zleconych badań i wszystko okazało się w porządku.

– Problem leży w twojej psychice – przekonywał Marek.

Którego dnia nie wytrzymała i zasugerowała mu to, o czym już dawno wspominał Cebula.

– Ty też powinieneś się przebadać.

– Ja?

Nie chciał o tym słyszeć, ale... W końcu uległ, bo żona kupiła mu coś, o czym marzył od dawna. Dostał od niej zestaw do obserwacji nieba. Te wszystkie teleskopy do astrofotografii i statywy kosztowały prawie dziesięć tysięcy, ale czego się nie robi dla kochanego mężczyzny? Kostecki oddał krew (i nie tylko krew) do badania, a po czterdziestu dniach do domu na Królowej Jadwigi przyszła pocztą koperta z wynikami. W sumie nie żałował. Gdy zobaczył, jak doskonale ma parametry, że jego kariotyp jest idealny i bez żadnych aberracji, poczuł się dziesięć razy bardziej męski niż dotychczas.

Nawet żona podobała mu się bardziej niż zwykle i kilka razy poszedł z nią do łóżka z własnej inicjatywy. Niestety, po czterech latach małżeństwa już prawie wcale nie przypominała tej apetycznej, lekko zaokrąglonej tam gdzie trzeba, seksownej dwudziestopięcioletki. Przybrała na wadze ponad dwadzieścia kilogramów. Częściowo odpowiedzialne za to były leki, bo Cebula wiecznie coś jej przepisywał, głównie hormony, ale tylko częściowo.

Ula zjadała stres. Prawie codziennie szła przez rynek do cukierni u Kołaczka. Tam piła kawę i zjadała pączka z lukrem. Czasem to były dwa pączki, a gdy miała doła, dopychała jeszcze eklera lub sernik. Potem wracała do domu, gdzie czekała na nią teściowa lub teść z pysznym, dwudaniowym obiadem. I deserkiem. A potem był podwieczorek i kolacja. I jeszcze coś na przekąskę, zjadane godzinę przed północą.

– Jak wyglądam? – pytała nieraz Marka, stojąc przed lustrem i wciągając coraz bardziej wystający brzuch.

– Świetnie. Jak zawsze – odpowiadał, nawet na nią nie patrząc.

Przez ostatni rok czuł się jak byk rozplodowy. Ula „rządziła” częstotliwością i terminami zbliżeń. Mówiła: „Teraz sześć dni przerwy, bo czekamy na jajczkowanie” i nie pozwalała mu się dotknąć. On sam też nie mógł się dotknąć, bo przecież nasienie będzie słabe. A gdy nadchodziły płodne dni, musiał uprawiać seks na żądanie, czy tego chciał, czy nie. I to chyba było jeszcze gorsze, bo przed seksem Ula dwoiła się i troiła, żeby go podniecić, a po „akcie” leżała bez ruchu z poduszką podłożoną pod tyłek, za to on już zrobił swoje i zasadniczo był zbędny.

Kiedys jej oświadczył, że ma tego dosyć i nie będzie się pieprzył na zawołanie, bo to go poniża, uwłacza jego godności i zabija w nim chęć do seksu. Oczywiście nie obyło się bez przepłakanego wieczoru i prawie dziesięciu cichych dni. Więc uległ, ale postanowił załatwić to po swojemu i wziąć odwet na żonie. Miał dość przedmiotowego traktowania. Znów chciał czuć się jak facet, jak zdobywca, a nie jak przedmiot.

Czy to aż tak wiele?



Kancelaria mecenas Orlickiej znajdowała się niedaleko rynku. Ale to nie odległość od biura Urszuli zadecydowała o jej wyborze, a fakt, że prawniczka słynęła z szybkiego i efektywnego załatwiania spraw. I na szczęście działała w Oświęcimiu od niedawna, więc prawie nikt jej nie znał prywatnie, zwłaszcza z rodziny Kosteckich.

Ula stanęła pod drzwiami kancelarii, lekko się zawahała, ale weszła, bo czy miała inne wyjście? Odnalazła sekretariat, potwierdziła swoją wizytę i parę minut później siedziała przed drobniutką, niziutką i całkiem niegroźnie wyglądającą młodą blondynką, na dodatek ubraną dosyć niecodziennie jak na prawniczkę, bo w delikatną dzianinową sukienkę koloru pudrowego różu.

– Co panią do mnie sprowadza? – Uśmiechnęła się do wyraźnie zarumienionej Urszuli, nie wiedząc, czy te poczerwieniałe policzki to od emocji, czy może od lekkiego przymrozku, który pojawił się dosyć niespodziewanie w pierwszy dzień kalendrzowej wiosny.

– Pani mecenas... – zająknęła się Ula. Wyjęła z torebki chusteczkę, przetarła usta, a potem zwinęła ją w kulkę i zamknęła w drżącej dłoni. – Chcę się rozwieść. Potrzebuję pozwu, rozważam też reprezentowanie mnie przed sądem.

– Rozumiem. Co się stało?

– Przed świętami Bożego Narodzenia odkryłam, że mąż mnie zdradza. Widziałam go z kochanką w kawiarni. Całowali się. Wieczorem do wszystkiego się przyznał. Ten romans trwa już prawie dwa lata, a spotkania... – chrząknęła, bo coś zadrapało ją w gardle – spotkania intymne ponad rok.

– Czy pani mąż i ta pani nadal się widują?

– Tak.

– Dlaczego dopiero teraz pani z tym przychodzi?

– Bo... – Urszula spuściła wzrok na dłoń międlącą coraz bardziej wilgotną od potu kulkę. – Mąż zaproponował, żebyśmy się nie rozstawali. Dla niego ten związek nic nie znaczy, stwierdził, że to taka odskocznia. Mówi, że nie kocha tej kobiety. – Popatrzyła na mecenaszkę. – Twierdzi, że mnie kocha i nie wyobraża sobie życia beze mnie.

– Mimo to nie planuje zakończenia tego romansu?

– Na razie nie. Za to zaproponował mi pewien układ. Mianowicie, że ja też mogę mieć kochanka.

– Otwarte małżeństwo?

– Tak.

– Ale dyskretnie? – Orlicka mrugnęła porozumiewawczo. – Żeby nikt się nie dowiedział? Dla dobra dzieci? Rodziny i znajomych?

– Coś w ten deseń, tylko bez dzieci, bo jeszcze ich nie mamy. – Ula czuła, jak w gardle znów wzbiera gniew i żal. Dokładnie tak jak wtedy, gdy Marek mówił to wszystko.

– Długo pani wytrzymała, trzy miesiące – westchnęła prawniczka. – Ale już dość?

– Już dość. – Urszula pokiwała głową i wyjęła z paczki kolejną chusteczkę.

– Jak długo jesteście państwo małżeństwem?

– Pięć lat.

– Macie państwo rozdzielność majątkową? Intercyzę?

– Nie.

– Nieruchomości? Kredyty, pożyczki lub inne długi czy zobowiązania? Jakiś majątek ruchomy?

– Mieszkamy u teściów, majątku nieruchomego brak. Mam samochód, paroletniego volkswagena passata, a mąż dwuletnie renault megane. Żadnych poważnych długów, mały kredyt na zakup samochodu, ale wkrótce się kończy.

– Oszczędności? – Mecenasa Orlicka wyjęła notes z szuflady, otworzyła i pstryknęła nad nim długopisem.

– Tak. Mój udział to pięćdziesiąt tysięcy

– Kosztowności, obrazy, antyki?

– Nie.

– To sporo ułatwia. Ma pani jakieś wymagania co do samego rozwodu? Z orzeczeniem o winie męża czy bez orzekania?

– Mam tylko jedno wymaganie, jeśli mogę tak to ująć: rozwieść się jak najszybciej. Najlepiej na jednej rozprawie.

– Jak długo nie sypiacie państwo ze sobą? – Mecenaska popatrzyła ze współczuciem na swoją klientkę.

Ta nie prezentowała się efektownie. Bez makijażu, z odpryśniętym lakierem na krótko obciętych paznokciach, po macoszeemu potraktowaną fryzurą i w przypadkowo dobranych ciuchach wyglądała jak wyjątkowo zaniedbana kura domowa. Nie mówiąc o widocznej nadwadze, która dodawała jej lat.

– Aż tak widać, że nie sypiamy? – Urszula zacisnęła wargi.

– Nie, proszę pani. Nie widać – skłamała gładko prawniczka, żeby nie dawać zgnębionej kobiecie dodatkowej okazji do obniżenia już i tak niskiej samooceny. – To normalne, standardowe pytanie o czas trwania rozpadu pożycia małżeńskiego. Takie samo jak to o majątek, długi, dzieci czy odrębność majątkową. To jak długo trwa rozpad pożycia?

– Od kiedy się dowiedziałam o kochance – wykrztusiła z trudem Ula.

Z trudem, bo przecież nadal czuła do Marka silny pociąg fizyczny. Gdy przypominała sobie tę romantyczną noc na tarasie, gdy mąż pokazywał jej gwiazdy, mówił, jak się nazywają, do której konstelacji należą, a potem obsypał ją czułościami, do jej oczu napływały łzy żalu, że to był ich ostatni tak piękny wspólny wieczór.

Ale się starała. Może i nie była równie szczupła i młoda jak kochanka Marka, na pewno taka nie była, wszak ta dziewczyna liczyła sobie dwadzieścia lat, ale przecież też kiedyś wyglądała szczupło i młodziutko. „Czy tylko uroda się liczy?” – zastanawiała się, siedząc samotnie w domu, bo Marek był „u kolegi”, jak to oficjalnie przedstawiał dociekliwej matce.

– A jak się pani układa z rodzicami męża? – zagadnęła Orlicka, jakby wyczuła myśli swojej klientki. – Czy oni wiedzą o tej sytuacji?

– Nie. Nikt nie wie. Poza zainteresowanymi, czyli mną, mężem i jego kochanicą. To marny powód do dumy. – Pozwoliła sobie na ironiczny ton. – Mąż powiedział, że ta dziewczyna to jego uczennica. Nie wiem, była czy aktualna. Mąż jest wykładowcą na uczelni artystycznej w Bielsku. Na pewno pani wie, jak są postrzegane związki między wykładowcami a studentkami.

– Wiem. Ile ona ma lat? Zna ją pani? – Prawniczka szybko się zorientowała, że klientce przydałaby się szczerza rozmowa z kimś, kto jej po prostu wysłucha. Ulżyłoby jej, choć pewnie sądziła inaczej, skoro trzymała to w sekrecie.

– Dwadzieścia. Raz w życiu ją widziałam, wtedy, w kawiarni.

– Proszę mi o tym opowiedzieć.

Ula westchnęła, bo ta chwila była chyba najgorszym momentem w jej życiu, ale jakoś się opanowała. Bez zbędnych detali zreferowała przebieg przypadkowego spotkania, a potem słowa Marka.

– Wiem jedynie, że ma na imię Patrycja. Nie chciałam więcej słuchać. To takie... – Zacisnęła usta.

– Upokarzające?

– Uhm... – Poczowała szczypanie pod powiekami.

– Straciła pani zaufanie do męża? – zapytała Orlicka, żeby zobaczyć natychmiastowe kiwnięcie głową. – Kocha go pani?

– Mam mówić prawdę? – wychrypiała Urszula.

– Mnie zawsze mówi pani prawdę, zgoda? – Prawniczka lekko się uśmiechnęła. – A ja doradzam pani, co należy powiedzieć reszcie świata.

– Kocham, ale nie chcę już z nim być. Nie mogę. Nawet gdyby zerwał z tą dziewczyną i już nigdy mnie nie zdradził. Coś we mnie umarło. O, tutaj. – Wskazała na miejsce, w którym było serce. – I już nigdy się nie odrodzi.

– Dlatego chce pani odejść?

– Dlatego chcę odejść...

Czwarta rozmowa

Mleko się wylało, a raczej wykipiało. Kiedyś musiała nastąpić ta chwila. Marek poinformował rodziców, Halina wezwała Urszulę na dywanik, wysłuchała spokojnie jej racji i wszystko zdawało się w miarę w porządku, o ile planowanie rozwodu z orzeczeniem o winie i wyprowadzka synowej są czymś „w porządku”, ale nie było.

Przetrawiła to, co powiedzieli syn i synowa, przedyskutowała to z mężem, który miał szczerze dość tego tematu, ledwie się o nim dowiedział, bo przecież po co komu taka rewolucja, i pod wpływem jego sugestii zadzwoniła do Bogusi, matki Urszuli.

Na początku obie panie, jak to wieloletnie przyjaciółki i matki dzieci, które się zakochały i pobrały, piały zgodnie i w jednym tonie, że Uleńka powinna wybaczyć Marusiowi, wszak to tylko chłop, a chłopcy jak powszechnie wiadomo są głupie i często myślą oraz podejmują decyzje organem usytuowanym poniżej pasa, ale szybko im przeszła ta jednomyślność.

Krew nie woda i po kwadransie rozmowy Halina nie wytrzymała i stwierdziła, że kocha i uwielbia Urszulkę jak własną córkę, ale gdyby synowa bardziej się starała i urodziła wyczekiwanego wnuka, na pewno by do tego wszystkiego nie doszło. Bogusia odparowała, że nie wiadomo dlaczego w tym związku nie pojawiło się jeszcze potomstwo. Na to Halina, że na pewno nie z powodu jej jedynaka, bo ten pokazał jej kiedyś w tajemnicy wyniki badań.

Oj, mocno trafiło wtedy Bogusię. Skończyła rozmowę słowami: „Nawet gdyby moja córka była nieplodna, to nie powód

i wytłumaczenie kurestwa twojego synalka”. Zadzwoiła do Urszuli i wypytała, o co chodzi z tym brakiem dzieci, powodując jeszcze większy zamęt. Jakoś udało się jej udobruchać starszą córkę, która zgodziła się nawet przyjechać w Poniedziałek Wielkanocny na uroczysty obiad.

Przyjechała, a już po godzinie żałowała tego serdecznie. O ile matka i ojciec zachowali odrobinę przyzwoitości, o tyle Natalia, młodsza o trzy lata siostrunia, miała niepowtarzalną okazję, żeby skopać leżącą na cacy. Dorwała pozew rozwodowy, który zupełnie nieprzemyślanie przywiozła ze sobą Ula, i zaczęła go czytać przy świątecznym stole.

– „Pozwany od dłuższego czasu pozostaje w nieformalnym związku z inną kobietą, oraz nie ma zamiaru tego związku zakończyć, a podjęta przez powódkę próba rozwiązania kryzysu małżeńskiego zakończyła się fiaskiem, strony nie widzą dalszej możliwości utrzymywania związku małżeńskiego. W chwili obecnej nie ma już racji i potrzeby kierowania stron do postępowania mediacyjnego. Strony bowiem zdecydowane są rozwiązać związek małżeński, a nadto pozwany uznaje swoją winę w rozkładzie tegoż” – zacytowała fragment dokumentu. – Czyli co? – Popatrzyła na siostrę.

– Czyli gówno – odparowała Urszula, bo miała już dosyć tego spektaklu.

– Milutko... – Natalia rzuciła pozew na stół.

Urszula złożyła dokument i z ulgą schowała w torebce. Przywiozła go, żeby pokazać rodzicom, bo prosili, zaalarmowani telefonem od Haliny. Ta awanturowała się, że Ula zwaliła na Marka całą winę i zażądała zwrotu kosztów prawniczki. Mówiła, że powinni się pogodzić, a skoro już Uli tak strasznie nie po drodze z mężem, mogła wnieść pozew o rozwód, ale bez orzekania o winie.

– Moim zdaniem mogłaś to jeszcze przemyśleć – odezwała się po chwili Bogusia. – Taki wstyd. Wszyscy się dowiedzą, co się stało.

– Przecież to nie jej wina – wtrącił się Maciek, mąż Natalki, ale ta natychmiast zgromiła go wzrokiem.

– Nie widzisz, że się krztusi? – Wskazała brodą na siedzącego mu na kolanach rocznego synka Kubusia.

– To go zabierz, jak ci się nie podoba, jak się nim opiekuję – warknął szwagier Urszuli. Wstał, wepchnął swoje najmłodsze dziecko matce i wyszedł na papierosa, jak zwykle zabierając ze sobą teścia, jedyne „normalnego” w tej rodzinie.

– Milutko... – powtórzyła Urszula z satysfakcją. Z jeszcze większą przyjęła prawie mordercze spojrzenie siostry.

– Przestańcie, dziewczyny – uspokoiła je matka. – A gdzie Jaś i Agatka? – Rozejrzała się wokół za parą wnucząt.

– Siedzą u was w pokoju i oglądają bajkę – wyjaśniła Natalia.

– Za dużo telewizji. Oczy się im zepsują.

– Wcale nie oglądają tak dużo, zresztą jeśli oglądają, to tylko z wami. Przecież w przedszkolu nie ma telewizora – skwitowała Natalia. – A gdzie będziesz mieszkać? – Postanowiła skupić uwagę poirytowanej sytuacją rodzicielki na sprawczyni zamieszania, czyli przyszłej pierwszej rozwódce w rodzinie.

Niepotrzebnie, bo matka właśnie wstała, zabrała najmłodszą pociechę córki i poszła sprawdzić, co tam u nieznośnej, ale i kochanej dwójki.

– To dokąd się wynosisz? – zagadnęła Urszulę.

– No przecież mówiłam. Do Bąkowa. Spróbuję wiejskiego życia. Może jest prostsze niż to miejskie.

– Na pewno nudniejsze – wypaliła Natalia.

– Myślę, że bardzo tęsknisz za nudą, stąd ten sarkastyczny ton.

– Nie będę mówić, za kim ty tęsknisz. Aż widać, jak cię skreca – prychnęła siostra. – Czyli będziesz mieszkać w tym domu, który wyłudziłaś od tej staruszki? Ech, niektórzy mają szczęście. – Pokręciła głową.

– Nie wyłudziłam. Dostałam w spadku – po raz kolejny powtórzyła Urszula.

Siostra nie mogła przeżyć, że tak się Uli udało. Od roku mieszkała razem z mężem, trójką dzieci i rodzicami w Chełmku, w dużym, czteropokojowym mieszkaniu, które kupili za pieniądze uzyskane ze sprzedaży ich kawalerki i dwupokojowego

mieszkanka rodziców. Niestety, nawet osiemdziesiąt pięć metrów kwadratowych to żaden luksus i wygoda, gdy zamieszkuje je siedem osób, w tym trójka ruchliwych berbeci.

– Miałas go sprzedać – przypomniała Natalia. – Mogłabyś pomóc rodzicom, kupić im jakieś fajne mieszkanie, choćby takie, jakie mieli przedtem. Gniotą się tu z nami, a dzieci przeszkadzają. Tato potrzebuje spokoju, jest chory na serce. Powinien mieć swój pokój, bo musi mieć chłodniej niż my, spać przy otwartym oknie. I w ciszy, a nie w takim hałasie. – Pokręciła głową, słysząc krzyki dzieciaków dochodzące z pokoju dziadków.

– Nie było chętnych – odparowała Urszula, już niezłe wkurzona przemycanymi między wierszami zarzutami. – Przecież wam proponowałam ten dom. Mogliście go kupić za pół ceny zamiast tego mieszkania.

– Też mi oferta. To straszna wiocha, a gdzie przedszkole? Ja i Maciek jakoś byśmy dojechali do pracy, bo do Oświęcimia prawie ta sama droga co stąd, ale... Sprzedalibyśmy mieszkania, dali ci kasę, przenieśli się do tej dziury, a co z rodzicami?

– Tam są dwa mieszkania.

– Niby dwa, ale nadal mieszkalibyśmy na kupie. Żaden szal. – Natalka wydeła pomalowane na ostry róż wargi. – Daleko do lekarza, do szpitala, apteki. Wszędzie musielibyśmy ich wozić.

– Proponowałam, żeby rodzice wynieśli się tam razem ze mną – wycedziła Ula przez zaciśnięte zęby. – W każdej chwili mogą tam się wprowadzić, ale przecież straciłabyś darmową pomoc do dzieci, prawda? Otóż nie, kochana siostrzyczko, nie jesteś centrum uniwersum i cały świat nie będzie się kręcił wokół ciebie i twoich dzieciaków. A na pewno ja nie zamierzam.

– Ho, ho... Jaki foszek! – zaśmiała się Natalia. – Nie moja wina, że mąż cię puścił kantem, bo jesteś niepełna.

– Owszem, nie twoja. Tak samo nie twoja wina, że urodziłaś się głupia i głupia umrzesz. Oby twoje dzieci nie miały inteligencji po matce, a raczej madce. A teraz wesołego alleluja, bo ja spadam. – Urszula zerwała się z krzesła i nie dając siostrze czasu na reakcję, wyszła z pokoju.

Znalazła matkę, pożegnała się z nią i siostrzeńcami, uścisnęła ojca, który właśnie wrócił z dymka, poklepała krzepiąco szwagra po łopatce i z ulgą opuściła mieszkanie swojej „kochanej” rodzinki.

– I na co liczyłaś? – warknęła sama do siebie, odpalając silnik samochodu. – Choćbyś na uszach chodziła, zawsze źle.

Wracała do Oświęcimia, myśląc że najchętniej uciekłaby gdzieś na koniec świata, żeby przeczekać tam choćby rok, aż się wszystko jakoś ułoży. Nie patrząc na leżącą na siedzeniu torebkę, wyjęła z niej telefon i zadzwoniła do Reni. Na szczęście przyjaciółka jak zawsze nie zawiodła.

Wybrały się na spacer nad Sołę. Było ciepło, wiał lekki kwietniowy wietrzyk, a z dala dochodziły piski dziewcząt ochlapywanych wodą przez grupkę chłopaków. Usiadły na ławce i wystawiły twarze do słońca.

– Wiesz co? Chyba tak miało być z tym twoim domem – orzekła Renata. – Nie miałaś ofert, bo tak po prostu chciał los.

– Los? Przecież miałam oferty. Trzy, a nawet cztery. Nie pamiętasz? Każdą dokładnie ci powtórzyłam, tak mi zryły psychikę, że do dziś mi się śnią te rozmówki.

– Pamiętam, pamiętam... – mruknęła Renata.

Faktycznie, gdy Urszula zleciła sprzedaż domu jednemu z oświęcimskich biur nieruchomości, pojawiło się kilku chętnych. O ironio, wszyscy zgłaszali się do Urszuli zamiast do sekretariatu „Mojego Własnego EM”, bo ich pracownica przez pomyłkę zamieściła jako pierwszy numer telefonu klientki zamiast biura...

Rozmowa pierwsza (kobieta około pięćdziesiątki):

– Halo, ja z ogłoszenia.

– Przepraszam panią, ale powinna się pani skontaktować z biurem (tu próba wytłumaczenia, co się stało – nieudana).

– Ale ja chciałam spytać, czy by pani nie chciała w rozliczeniu mieszkania w Oświęcimiu. Ładne! Duże, dwa pokoje, z łazienką i wucetem. Resztę byśmy dopłacili, jak zięć załatwi kredyt.

– Proszę pani, obawiam się, że nie jestem zainteresowana żadnym mieszkaniem w rozliczeniu.

– Damy jeszcze samochód. Ford mondeo. Zięć mówił, że za dyszkę można sprzedać. Pierwszy właściciel.

– Naprawdę nie jestem zainteresowana wymianą.

Tu nastąpiła pięciominutowa perora, że Urszula powinna się zastanowić, bo mieszkanie można wynająć, na szczęście zakończona charakterystycznym sygnałem rozładowania aparatu.

Rozmowa druga (kobieta około trzydziestki, w tle słychać krzyki i płacz małych dzieci):

– Halo, a ogłoszenie o tym domu w Bąkowie to aktualne?

– Tak.

– Bo ja to sobie pooglądałam dokładnie to ogłoszenie na OLX i chyba jesteście chętni.

– Super, jeśli państwo chcą obejrzeć dom, proszę się skontaktować z biurem, już podam numer tele...

– A wie pani co? Ja mam pytanie. Bo my teraz wynajmujemy mieszkanie w Kętach, a mąż to wyjechał niedawno do Anglii pracować i teraz jest lepiej, ale jeszcze nie mamy tyle uzbierane, żeby zapłacić gotówką. Może pani by nam wynajęła ten dom, a my do odstępnego będziemy dopłacać po dwieście złotych takich rat?

– Przepraszam bardzo, ale ja chcę sprzedać ten dom, nie wynajmować. Dałam bardzo niską cenę, żeby szybko go zbyć, nie przez dwadzieścia lat.

– No wiem, że tani. Jest okazja, dlatego mówię, że byśmy go sobie zakleпали. Wpłacimy pierwszą ratę. Mamy trochę odłożone.

– Ile macie państwo zaoszczędzone?

– Tysiąc.

– Ile?

– Tysiąc złotych.

– Naprawdę chciałabym pomóc, ale to za mała kwota. Gdybyście państwo...

– To spierdalaj, cipo!!! – Kliknięcie.

Rozmowa trzecia (mężczyzna około czterdziestki):

– Dzień dobry, dzwonię z ogłoszenia, nazywam się Kazimierz Szczotka, dzwonię z... (tu bardzo długa i zawiła anglojęzyczna

nazwa), chciałem pani zaproponować doskonałą propozycję. Otóż... (tu równie długa i mocno zawoalowana propozycja odwróconej hipoteki).

– Dziękuję, ale nie jestem zainteresowana.

– Proszę pomyśleć szanowna pani, comiesięczna pensja, stała, niezależna od kaprysów pracodawcy, to...

– Mam własną firmę, nie potrzebuję pensji.

– Ależ proszę pani...

– Przepraszam, ale jestem bardzo zajęta. Do widzenia.

Rozmowa czwarta (niecały kwadrans po poprzedniej, mężczyzna, też około czterdziestki):

– Dzień dobry, dzwonię z ogłoszenia, nazywam...

– Dzień dobry. – Urszula nie dała mu dokończyć, bo początek wydał się jej dziwnie znajomy. – Może ja pierwsza. Ma pan pieniądze?

– Nie rozumiem.

– A co tu rozumieć? Pytam, czy ma pan pieniądze na zakup domu. Jeśli chce pan mi zaoferować wymianę na mieszkanie, samochód, flotę autokarów, inny dom, dożywotnią rentę, pakiet akcji, młodego niewolnika, stado wielbłądów, roczne wczasy na Teneryfie, a nawet małżeństwo, sto hektarów w Pcimiu lub używany śmigłowiec, od razu mówię: *no way*. Chcę sprzedać dom. Sprzedać – powtórzyła bardzo niemiłym tonem. – Szybko i bez żadnych numerów. Najlepiej za gotówkę.

– Teraz rozumiem. Chyba jednak nie jestem zainteresowany.

– Świetnie. Do widzenia.

– Do widzenia.

– Wiesz co? Po tej ostatniej rozmowie byłam taka nabuzowana, że pojechałam do tego biura i tak ochrzaniłam ich sekretarkę, że prawie się popłakała. Strasznie mi było głupio, gdy wróciłam do domu i ochłonęłam. Ciocia Jarzębina musiała się w grobie przewracać, gdy to widziała. Niezła flądra ze mnie. – Urszula westchnęła.

– Miałas prawo się wkurzyć. Oni popełnili błąd.

– Niby tak, ale ostatecznie nic na tym nie zarobili. Wycofałam dom ze sprzedaży, zapłaciłam tylko dwie stowy, a przecież same ogłoszenia w prasie i internecie kosztowały więcej, a gdzie obsługa?

– Nie masz co ich żałować. Normalna sprawa, ryzyko wpisane w rodzaj działalności. Swoją drogą, mogłaś dać temu ostatniemu dojść do słowa – zachichotała Renata. – Kto wie, co chciał ci zaproponować.

– Wymieniłam chyba wszystko. Nie pamiętasz?

– Czołg?

– Faktycznie. Nie było. Ale był śmigłowiec.

– No tak. Śmigłowiec był. – Nagle Renata otworzyła oczy, popatrzyła na siedzącą obok Urszulę i ryknęła śmiechem.

– I czego rżysz?

– Chciałabym widzieć minę tego ostatniego kolesia.

– Do dziś się nie otrząsnął. – Urszula zachichotała, wyobrażając sobie jego reakcję. – I dobrze mu tak. Temu przed nim od razu tak powinnam zasunąć. Naciągacz jeden...

– No. Naciągacz – powtórzyła Renata, z powrotem opierając głowę na ławce.

– I oszust.

– I dupek.

– Jak wszyscy faceci.

– Jak wszyscy – zgodziła się Renata.

– Wiesz co? – odezwała się po dobrych pięciu minutach Urszula.

– Ale co „co”?

– Nikt mnie dzisiaj nie oblał.

– Mnie też. Nawet mój Bubuś nie zlał się w przedpokoju do butów, tylko kulturalnie do kuwety – stwierdziła z dumą Renata.

– Stare jesteście. Dlatego nikt nas nie oblał. Za to wszyscy nas olali – zaakcentowała ostatnie słowo.

– Gdzie wady? To ich wina, facetów, że nie dostrzegają naszego młodzieńczego potencjału.

– Gówna prawda. Wypadłyśmy z obiegu. Jesteśmy niewydzielne, bo stare.

– Wiesz, że kiedyś przychodzi chwila, że trzeba po prostu komuś ustąpić i przyznać mu tę cholerną rację?

– I jak mniemam, to właśnie ta chwila, kiedy mam ci ją przyznać?

– Słusznie mniemasz.

– Już od dziecka byłam wyjątkowo bystrym stworzonkiem. Więc tak, niech ci będzie. Masz świętą rację. – Ula chrząknęła, starając się zachować powagę, ale kąciki jej ust uparcie podnosiły się do góry.

– Potwierdzasz, że faceci to dupki? – naciskała Renia.

– Uhm. I oszuści.

– I naciągacze...

– I świnię.

– Nie obrażaj świń. To bardzo inteligentne zwierzęta.

– Masz rację...



Urszula wysiadła z samochodu, oparła się o drzwi i z niesmakiem rozejrzała wokół. Otoczenie nie nastrajało optymistycznie. „Może to przez tę paskudną pogodę?” – próbowała w myślach zaklinać rzeczywistość, choć dobrze wiedziała, że kwiecień plecień i za tydzień, góra dwa, zima ustąpi, a do Bąkowa zawita piękna, wiejska i sielska wiosna.

Zerknęła na zegarek, zaniepokojona spóźnieniem Renatki, ale ta właśnie wyłoniła się zza zakrętu w swoim nieco przyrdzewiałym fiacie seicento. Zaparkowała tuż za samochodem przyjaciółki, wysiadła i zrobiła minę: „O matko!”

– Mały biały domek... – zanuciła Ula na jej widok.

– Cześć, kochana... – Renia podeszła do Urszuli, objęła ją w pasie i cmoknęła w zziębnięty policzek.

– No cześć. I co powiesz? – Ula zmarszczyła czoło.

– Hm... – Renata poważnie się stropiła. Zawsze cechowała ją ogromna empatia i bez problemów mogła sobie wyobrazić, co teraz czuje Uśka. – Niewątpliwie duży. I ogrodzony, a to już

jakiś plus – podsumowała, patrząc na prawie idealny sześcian, bo taką właśnie bryłę miał dom, przed którym stały.

– Dachu nie ma.

– No co ty, ma dach.

– Może i ma, ale stąd nie widać – burknęła z przekąsem Ula. – A zauważyłaś to artystyczne ogrodzenie? Te kolorki... I wzorki.

Załamana się, widząc, gdzie przyjdzie jej żyć. Gdy pomyślała, że codziennie będzie patrzeć na te kiczowato-tandetne elementy architektury, już bolała ją głowa. Dom wyglądał koszmarnie. Postawiono go w latach siedemdziesiątych, a jak powszechnie wiadomo, dostęp do materiałów budowlanych w tamtych czasach był poważnie ograniczony. Może stąd niekonwencjonalny pomysł, aby ogrodzenie wykonać z grubych arkuszy blachy, z których wcześniej wycięto kształtki, a pozostałość wykorzystać jako przęsła. Żeby uatrakcyjnić całość, ktoś pomalował je naprzemiennie na zielono i czerwono.

Była tu raz, ale wtedy to wszystko prezentowało się jakoś inaczej. Może dlatego, że gdy przyjechała tu w czerwcu z przedstawicielką biura nieruchomości, dom i ogródek tonęły w kwiatkach róż, drzewa i krzewy miały liście, a ogrodzenie zarosło pnącym się wszędzie winobluszczem. Obrazu sielanki dopełniały dźwięki: wokół brzęczały pszczoły, a nad głowami wznosiły się ptasie trele.

No i w życiu Urszuli też nie było jak teraz: zimno i beznadziejnie.

– To chyba kosy? A dokładnie ostrza kos, czy jak to się tam nazywa. – Renata podeszła do furtki i przez chwilę analizowała kształt wyciętych otworów. – W Bielsku jest fabryka kos.

– Raczej była, pewnie już dawno ją zamknęli. Kto teraz używa kos? – Ula wzruszyła ramionami. – Kombajny są.

– Ale trzeba przyznać, że to bardzo eko. Wiesz, takie wykorzystanie surowca.

– Uhm. Tu jest więcej takich eko... – Nowa mieszkanka wskazała brodą na elewację budynku.

Kobiety z trudem otworzyły przyrdzewiałą furtkę i brodząc w błocie pośniegowym, dotarły do budynku. Zadarły głowy i przez

moment podziwiała kolejne detale: idealnie ułożone w karo eternitowe płyty i precudnej urody fryzy nad okiennymi niszami.

– To chyba pochodzi z jakiejś fabryki szkła? – zastanawiała się Renata, ślizgając wzrokiem po wtopionych w tynk fragmentach rozbitych butelek i talerzy. Bursztynowe i szmaragdowe szkło pokrywał brud, ale i tak lśniły swoim tandetnym blaskiem. – Nawet kawałeczki lusterek tu są. Ojej! To dobrze! – Płasnęła w dłonie. – Lusterka według zasad *feng shui*¹ mają cudowny wpływ na otoczenie. Popatrz, ale ktoś to doskonale wymyślił. – Zerknęła na Ulę, żeby sprawdzić, czy podziela jej entuzjazm.

– Fabryka szkła? Wygląda mi raczej na pozostałości po ostrej bibie. Pochodna melanżu. Wiesz, jak w matematyce – wyjaśniła przyjaciółce, która zawsze była kiepska ze ścisłych przedmiotów.

– Mnie się podoba. Jest ekologicznie, bo z recyklingu.

– Jeszcze się zachwyć eternitem... – burknęła Ula. – Eko jak jasna cholera. Przecież to rakotwórcze gówno.

– Ale tylko jak się go rusza. Demontuje i tak dalej.

– Aha. To nie będę ruszać. Zresztą nie mam ochoty tu niczego ruszać. I demontować też.

– Nie można być takim malkontentem – zaproponowała Renata. – Dom jest duży i pewnie ma fajny układ w środku.

– Taaa... Na pewno ci się spodoba. – Ula pokiwała głową.

Kwadrans później miała się przekonać, że jej przewidywania niestety się sprawdziły. Renia miała podobną minę jak ona, gdy pierwszy raz zwiedzała odziedziczony budynek. Obeszły parter, czyli WC, łazienkę, kuchnię, sypialnię, pokój dzienny i gabinet – wszystko ułożone naprzemiennie wzdłuż długiego i wąskiego korytarza – a później zwiedziły piętro.

– *Déjà vu* – zachichotała nerwowo Renata. – Ale nie jest tragicznie. Gdyby to jakoś fajnie rozplanować...

– Błagam. Nie da się ukryć, że mam dwie kuchnie, dwie łazienki, dwa kible i dwa identyczne zestawy pokoików, bo przecież to klitki. Teraz tylko załatwić drugie życie albo się sklonować...

1 Sztuka aranżacji wnętrza i przestrzeni w celu osiągnięcia harmonii ze środowiskiem.

– Możesz na dole zrobić biura, a na górze mieszkać – skwitowała Renia, starając się, by jej głos zabrzmiał krzepiąco, ale kosztowało ją to dużo wysiłku, gdyż dom był zagracony i okropnie zaniedbany.

– Chyba ci umknęło, że dół jest umeblowany, a tu są same rupiecie i śmieci. Nie ma mebli kuchennych. Nic nie ma. Muszli klozetowej też. Zostaje pozycja na Małysza. Ale poradzę sobie! Kto jak nie ja? – spytała z goryczą. – Rozpalę na środku ognisko i na okrągło będę jeść pieczone. W sumie to mi wyjdzie na dobre. Dieta ketogeniczna – dodała gwoli wyjaśnienia. – Okna się otworzy i można grillować.

– Meble kuchenne można przenieść, armaturę też. Uśka, będzie dobrze. Tylko musisz w to uwierzyć.

– Masz farta, że tak cię lubię – odparowała Urszula. – Gównianie będzie, nie dobrze. Nic nie jest dobrze. – Przysiadła na jakichś niemożliwie zakurzonych kartonach. – Mąż puścił mnie kantem, zresztą nie tylko jego straciłam, a teraz czeka mnie budowa. Budowa! – powtórzyła. – Bo przecież tu jest okropnie. Zwykły remont nie wystarczy. Wiesz, ile to kosztuje?

– Nie wiem, ale mogę sobie wyobrazić.

– Uruchom wszelkie pokłady tej wyobraźni. Będzie ci potrzebna. A gdy już sobie to wyobrazisz, pomnóż razy dwa, lub trzy. Ech... – Ula machnęła ręką. – Szkoda gadać.

– Pomogę ci. Wezmę urlop i przyjadę tu posprzątać.

– Daj spokój. Dzięki, ale to nie ma sensu.

– Chcesz tu dzisiaj nocować? – Renata jeszcze raz rozejrzała się po pomieszczeniu.

– Nie chcem, ale muszem. Przecież się wyniosłam od teściów. A do starych w życiu nie pojedę, wolę grillowanego szczura pod mostem niż kolację z siostrunią.

– Możesz przekimnąć u mnie.

– A koty zamkniesz w piwnicy? – Przypomniała jej o swojej alergii na kocią sierść. – A może na balkonie?

– Fakt, zapomniałam. A jest tu woda?

– Jest. Wszystko. Prąd, woda i gaz. Nie czujesz, że jest ciepło?

– Czuję, ale jak? Cały czas ten dom jest ogrzewany? – zdziwiła się Renia, bo wiedziała, że w tym budynku nikt nie mieszkał od ładnych paru lat.

– Nie. Parę dni temu dałam klucze znajomemu. On ma się zająć remontem, więc wpadł tu, żeby obejrzyć zgliszcza i uruchomił wszystko.

– Aha. A ten znajomy to...

– Żona, trójka kaszojadów i mięsień piwny – umiejętnie zamknęła jej usta Urszula. – Jeszcze jakieś pytania?

– Nie.

– Świetnie. To co? Idziemy odgruzować choć jeden pokój? Na dole? Czy jechać po laski?

– Jakie laski? – Renata zmarszczyła czoło.

– Dynamitu, kurwa. Dynamitu. Żeby to wszystko wysłać w pieprzony kosmos!

– Chcesz, żebym przestała próbować ci pomóc? Powiedz słowo i już mnie nie ma! – Renata wsparła się pod boki.

– Przepraszam – fuknęła Urszula.

– Zobaczysz, wezmę kaganiec ze sklepu, taki duży, na cielaka, i będę ci zapinać na czas mojego pobytu tutaj.

– O Jezu... Obiecuję, że będę grzeczna! Już tryskam optymizmem!

– I bardzo dobrze! Tryskaj czym chcesz, byle nie na mnie!

Renia została do północy, ale zanim wróciła do swojego przytulnego mieszkania i kotów, Urszula pięć razy odwiedziła miejscowy sklep GS-u, żeby kupić im środki czystości, potem znów środki czystości i jeszcze raz środki czystości oraz worki na śmieci, gumowe rękawice, coś do jedzenia i tak dalej. Stwierdziła w duchu, że wykupiła całą chemię, a gdy pani ekspedientka przy jej trzecim kompulsywnym napadzie na stoisko z płynami i proszkami ostrożnie spytała: „Czy mają wycofywać te rzeczy ze sprzedaży?” – Urszula odburknęła: „Nowe przepisy unijne. Nie będzie niczego, tylko szare mydło i to do maja, góra do czerwca” – wprawiając kobiecinę w osłupienie.

Mimo całej dniówki, bo zasuwały równe osiem godzin, pokój nadal przedstawiał żaloszny wygląd. Drewniana futryna straszyla

łuszczącym się lakierem, szyby zmatowiały od wielokrotnego mycia odbijały smętną rzeczywistość: gołą żarówkę wiszącą na kablu, starą meblościankę, niewiele młodszą wersalkę i ławę oraz dwa fotele skrzypiące od samego patrzenia na nie. Dywan wylądował w rogu ogrodu, podobnie jak zdjeta z ogrodzenia pilśniowa tablica z napisem: „Na sprzedaż” oraz sporo innych rupieci, w tym całe stosy stęchłych książek pokrytych grubym kozuchem pleśni.

– Muszę zamówić kontener – oświadczyła Ula, gdy wróciła z kolejnej wycieczki do zakątka gratów. – Wielki kontener. Ale to po remoncie.

– Zrobiłam herbatę. I kanapki – zakomunikowała z kolei Renia, ustawiając tacę na ławie.

Jej główną przestrzenią działania była kuchnia i trzeba przyznać, że doprowadziła ją do stanu używalności, choć łatwo nie było. Zlew uzyskał biały kolor dopiero po trzecim potraktowaniu go harpikiem, czyli czymś okropnie śmierdzącym i gryzącym w gardło, i z założenia przeznaczonym do mycia toalet. Niestety, dysze kuchenne nie chciały ulec jego mocy. Bładoniebieskie płytki wyskakiwały tu i ówdzie na moment, jakby się wstydziły zostać dłużej.

– Był tam czajnik? Nie zauważyłam – mruknęła Ula, mając usta wypełnione kromką weki.

– Był. Taki zwykły, z gwizdkiem. Ale bez gwizdka – dodała Renia. – Dlatego nie piszczął.

– Aha. Cudownie. – Urszula pokręciła głową. – Kiedy ja stanę na nogi? Zacznę funkcjonować jak człowiek?

– Pomogę ci.

– Wiem. I jestem wdzięczna. Mam tylko ciebie.

– Nie przesadzaj. Są jeszcze twoi rodzice. – Renata poprawiła się nerwowo na fotelu, bo miała wrażenie, że coś właśnie ugryzło ją w tyłek. „Pluskwy? Niemożliwe, już dawno by umarli z braku pożywienia”.

– Ta... Rodzice... – zachnęła się Ula. – Moi rodzice... Temat rzeka, złoci ludzie. Zwłaszcza matka. Wiesz, co mi zasunęła, gdy ostatnio z nią gadałam przez telefon? Że ona to przemyślała

ostatecznie i według niej popełniam błąd, że powinnam była rozważyć propozycję Marka, przeczekać, bo na pewno by mu przeszło. Jej drugie imię to reputacja, tylko to ją interesuje. Jak oceniają ją inni.

– Mówiłaś – wtrąciła Renata.

– Wyobrażasz to sobie? Przeczekać?? – Potrząsnęła z niedowierzaniem głową, bo takiej reakcji się nie spodziewała. No, może trochę się spodziewała, ale starała się to wyprzeć z głowy.

– Nie bardzo. Moja matka w ogóle ze mną nie gada, przecież wiesz – przypomniała przyjaciółce Renata.

– Moja też by tak mogła. Wcałe bym nie płakała. – Urszula ostatnio miała dość matki i niemalże codziennych telefonów zaczynających się zawsze idiotycznym: „Cześć, córciu, co słychać?”

Renata dyplomatycznie nie podjęła tematu, chcąc zaoszczędzić jej nerwów. Dokończyła swoją wegetariańską kanapkę, posprzątała po kolacji, pomogła Uście przynieść pościel z samochodu i pożegnała się „do nazajutrz”, całując przy tym i ściskając przyjaciółkę tak mocno, jak nigdy dotąd.

– Zadzwońię z domu! – krzyknęła, stając przy samochodzie.

– Okej!

Ula zamknęła drzwi, zaryglowała je solidnie i poczłapała do swojej nory. Siadła na brzegu wersalki, zakryła twarz i wybuchnęła niepowstrzymanym płaczem